



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



11. Z POLESIA.

Fot. hr. W. Pustowski.

# Pokolenie Smoka Wawelskiego.

(Dokończenie).

Dzisiejszy spokojny i łagodny bazyliszek nie ma prócz nadanej mu przez uczonych starej nazwy, nic wspólnego z tym postrachem warownych grodów średniowiecza, „królem węzów lub arcywęzem”. Rysunek nasz owego potwora zdobi wstęp do książki, opisującej rodzinę węzów.

Według Gesnera dwa razy za jego pamięci miano zaobserwować narodziny bazyliszka z jaja, złożonego przez podstarzałego koguta. Potwór, wywodzący tak oryginalnie swój początek, musi też być stosownie obdarowany niesamowitymi przymiotami, w pierwszym rzędzie zabójczym wzrokiem, którym niszczy wszelkie życie dokoła. Na głowie ma on coś w rodzaju korony, a cały pokryty jest pstro pręgowaną skórą węża i jest w stanie uśmiercać nie tylko swemi czerwonymi oczyma, ale także i samem ryczeniem. Gdzie przepelźnie bazyliszek po ziemi, tam nie wyrośnie nawet trawka. Głuchota jego jest przyczyną straszliwej własności oddechu.

Znany wszędzie w Europie zawitał on swego czasu i do Polski, gdzie wywołał niebywałą sensację i utkwiał na długo w pamięci potomności. A wybrał sobie nie byle jaką mieścinę, lecz trafił od razu do Warszawy, gdzie sprawił niemałą awanturę w r. 1587, o czem dowiadujemy się z relacji Jerzego Kirchmajera, w komentarzu do pisma św. z wzmianki Erndtla w dziele „Varso-

via physice illustrata” i artykułu ks. Chmielewskiego w encyklopedycznym dziele „Ateny nowe”.

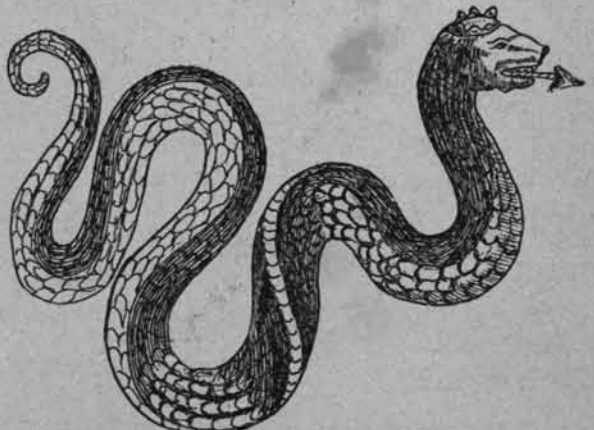
W roku tym syn pewnego płatnerza i córka sąsiada bawili się w piasku koło jakiegoś zawalonego gmachu. Dokopali się starych schodów i zesłi niemi do starej piwnicy. Ledwie tam stanęli — wyzionęli ducha. Rodzice zaniepokojeni wysłali za dziećmi służące, które również nie wróciły więcej. Sprawa stała się głośna i doszła do uszu burmistrza miasta. Na jego rozkaz bosakami wydobyto nadęte trupy o cerze szarej i z napuchłemi oczyma. Uczony cyrulik królewski, Benedykt, dopatrywał się w tem sprawy bazyliszka. Potwora tego nie sposób inaczej uśmiercić, jak tylko pokazawszy mu jego samego w zwierciadle. Do ryzykownego tego przedsięwzięcia wybrano skazanego właśnie na karę śmierci więźnia, któremu przyrzeczono wolność, gdyby wywiązał się należycie ze swego zadania. W tym celu ubrano go w skórę, na nos wetknięto okulary, na całym ciele pozawieszano lśniące lusterka, i w ten sposób wyekwipowanego uzbrojono jeszcze niezbędną latarką i potężnemi widłami. Więcej niż godzinę błąkał się człowiek ten w podziemiach i dopiero zauważywszy w jakimś zakątku ukrytego potwora, dzielnie zbliżył się do niego, uśmiercił przy pomocy lusterek i w tryumfie wydobył na światło dzienne, zdobywając w ten sposób npragnioną wol-



MNICH MORSKI.



BISKUP MORSKI.



BAZYLISZEK.

(Podług Gesnera).

ność. Uczony cyrulik poznał w wydobytej bestyi najprawdziwszego bazyliuszka wielkości kury, o głowie podobnej do indyczej, z grzebieniem na kształt korony, barwy błękitnej, z grzbietem brodawkami zdobionym i oczyma żółto nakrapianymi. Tyle kroniki o tym potworze, zrodzonym w Polsce, a pokrewnym innym, znanym w całej niemal Europie.

Ludy, żyjące nad morzami znalazły potwory przebywające specjalnie na oceanach i czchające na zagładę najpotężniejszych nawet okrętów. Wspaniała taki okaz, zwany wężem morskim, znany Gesnerowi, dochodził nie byle jakiej długości, bo aż całych 90 metrów. Niepochlebna sława mórz za czasów Odysseusza bynajmniej nie utraciła na swej wartości i w czasach bardzo nawet nas niedalekich, jak tego dowodem nieprzeliczone już wprost zastępy rozmaitych panien morskich, dyabłów morskich, węzów, walów itp.

O niektórych z tych stworzonek opowiada Gesner zajmujące historie nadmieniając, iż „dziwne opisywanie niektórych zwierząt morskich, od góry podobnych do ludzi, z dołu do ryb, nie zupełnie jest wymyśloną bajką“! Dokładnie też je opisuje, a nawet dodaje ich podobizny, zwracając bystrą uwagę na najdziwniejsze ich cechy. Mnicha morskiego złowiono np. aż trzy razy w sieci w Norwegii, a raz nawet w r. 1516 w czasie połowu śledzi w morzu Bałtyckim. Król polski Zygmunt I kazał go zasuszyć i długo potem jako osobliwość pokazywał. Nie skończyło się tylko na mnichu, ale owszem szczęśliwym trafem złowiono i Biskupa morskiego (episcopus marinus). W r. 1531 powiada nasz autor, schwytano go „na wybrzeżu morza niedaleko Polski“ i przyniesiono go przed polskiego (Pollendischn) króla. Biskup morski nie umiał jednak uszanować tego zaszczytu, ponieważ wkrótce dał do zrozumienia, iż bardzo pragnie znaleźć się z powrotem w wodzie. Skoro go zatem przyniesiono nad morze „rzucił się weń od razu i skrył się w głębie“. Antoni Waga powiada, iż głowa tego szczególnego mieszkańca oceanu wyobrażała infułę biskupią, co też możemy widzieć na dołączonym rysunku z dzieła Gesnera. Zgodnie z Gesnerem pisze A. Waga w r. 1819: „Król polski, sta-



HYDRA SIĘDMIOGŁOWA.

(Z Gesnera).

wszy się jego właścicielem, kazał go z powrotem w morze wpuścić, ponieważ, jak świadczą, niezmierną do wód morskich okazywał sympatyę”.

Pannę morską, w pół kobietę w pół rybę oglądać miano w r. 1523 w Rzymie, w Norwegii zaś schwytano nawet dyabła morskiego, zw. po łacinie Pan marinus, Satyrus marinus albo Ichtyocentaurus. Krewniaka jego, szatana puszcza schwytać miano w Salzburgu w roku 1531 równocześnie z biskupem morskim w Polsce. Znany był również dawniej tajemniczy mieszkaniec lasów, kudłaty i ogoniasty potwór o małych palcach u nóg i rąk, zresztą podobny całkiem do człowieka, którym, jak sądzić można, był właściwie pawian, uważany za półczłowieka.

Długim musiałby być szereg podobnych innych fantazyjnych stworzeń i poczwarów, gdybyśmy chcieli wszystkie je wyliczyć. Sam inwentarz świata starożytnego wystarczałby najzupełniej do spisania dzieła podobnego, jak je Gesner opracował. Wspomina on obszernie o siedmiogłowej hydrze z koronami na głowach, o tajemniczym, samoodradzającym się sfinksie, którego życie podaje na 540 do 7006 lat i o wielu innych mniej już znanych i ciekawych. Z wszystkich nich nie pozostało i śladu do dzisiaj, ale podobnie jak przed wiekami tak i teraz jeszcze odgrywają one znaczną rolę w repertuarze baśni ludowych. Smok wawelski, chociaż nigdy nie był istotą rzeczywistą, to tem nie mniej żył w fantazyi przeszłych pokoleń i być będzie z całym swem egzotycznym towarzystwem, jak długo życia ludzkiego.

B. Janusz.



# W siedzibie Siemiradzkiego.

Cztery wiorsty na wschód od Radomska, w malowniczej miejscowości dawnego województwa sieradzkiego, leży wieś Strzałków, ukryta niegdyś w ostępach leśnych, dziś znana z pobytu w niej sławnego mistrza H. Siemiradzkiego.

Wieś usadowiła się wokół wielkiego stawu, nieopodal wzgórza, na którym z pośród zieleni drzew parku, przeświecają białe mury kościoła, oraz ściany dworu.

Gniazdo to rodu Poraitów, którzy siedząc tu w XV wieku, zwyczajem ówczesnym od dziedzictwa przezwali się Strzałkowskimi. Z nich Leonard fundował tu pierwszy kościół w 1411 roku. Przywilej erekcyjny, znany nam z potwierdzenia króla Zygmunta III, mieścił w sobie ciekawe zastrzeżenia: że patronami kościoła mają być dwaj starsi wiekiem i godnością poważni członkowie herbu róża biała w polu czerwonym, zawołania Poraj, że do nich w czasie wakującej prebendy należeć ma wybór kandydata na opróżnione miejsce, a jeśli ci dwaj na wybór nie zgodzili się, wtedy ma być takowy powierzony dwóm drugim stryjcom herbowym. Uposażenie kościoła było niezwykle hojne, bo składało się z części wsi Strzałkowa, z połowy Szczepocic i z sołtystwa we wsi Orzechowicach. Utworzona tu była naówczas prebenda katedry gnieźnieńskiej, a prebendarzami bywali zazwyczaj znakomici prałaci lub kanonicy metropolitalni, którzy do Strzałkowa na letnie miesiące przyjeżdżali, stale zaś zamieszkały w Strzałkowie kapłan obowiązany był odprawiać trzy msze tygodniowo: za spokój duszy fundatora, za pomyślność Rzeczypospolitej i na intencję nawrócenia grzeszników. Jednym ze sławniejszych prebendarzy był w XVI w. Marcin Rusiecki z Izdebną, zwany Izbieńskim, również Poraita, scholastyk królewski, kanonik gnieźnieński, któremu, „gdy posłał król biskupstwo poznańskie, a chciał od niego, aby dał 10 tysięcy cz. zł., nie chciał biskupstwa przyjąć, powiadając, że się tego kupować nie godzi“. On chyłką się ku upadkowi pierwszą świątynię podźwignął, tak bowiem należy rozumieć wyrażenie B. Paprockiego: „w S. na prebendzie w województwie sieradzkim kościół zbudował“. Dbały o dobro powierzonej sobie świątyni, nie pozwolił uszczuplić jej posiadłości, stąd liczne wzmianki ówczesne w aktach grodu piotrkowskiego o rozgraniczeniu Strzałkowa od sąsiednich włości.

Jaką drogą wieś ta przeszła następnie na skarb koronny — niewiadomo; to pewne, że w połowie w. XVII, należy do starostwa radomskiego.

Rząd pruski posiadłości te zabrał, za Księstwa zaś Warszawskiego klucz strzałkowski, należący do dóbr ekonomii Gidli, sprzedany został w r. 1809 przez licytację na umorzenie pożyczki, zaciągniętej na wystawienie i utrzymanie wielkiej armii małego księstwa. Nabywcami zostali Rawici—Biedrzyccy, a od r. 1884 Henryk Siemiradzki, chluba malarstwa polskiego. Ze Strzałkowa pochodził też Walenty Łapczyński, sołtys miejscowy—„który był kunsztu drukarskiego“, a odznaczony się na wojnie za króla Stefana, w nagrodę męstwa uzyskał szlachectwo, przypuszczonym będąc w r. 1581 do h. Jelitów przez Jana Zamoyskiego, hetmana i kanclerza w. koronnego.

Ozdobą wsi jest kościółek murowany w kształcie krzyża, pod wezwaniem Nawiedzenia N. M. P., o motywach renesansowych. Duży olejny obraz, zawieszony na ścianie, przedstawia klęczącą postać rycerza, dźwigającego na ramieniu kościół; naprzeciw podłużny portret kobiety w ubiorze napót zakonnym XVI w. Obraz ten w części zniszczony od wilgoci tradycya miejscowa uważa jako wizerunek narzeczonej fundatora, zmarłej w młodocianym wieku. Gustowne malowania sklepień, pokrywające w części i ściany świątyni, powstać musiały pod koniec XVIII wieku; dowodził tego portret, umieszczony do niedawna około presbiterium z napisem: „Franciscus Kobielski Episcopus Brestensis Benefactor“. Krasicki o nim mówił, że był to mąż wielkiej gorliwości apostolskiej. Pochodził z pobliskiej wsi Kobieli i wiele czynił dla tu-tejszej świątyni. Po drugiej stronie tęczy presbiterium spostrzegamy znów postać rycerską fundatora z kościołem w ręku — pod nim napis: „Leonardus Strzałkowski fundator et donator loci hujus“. W myśl pierwotnej erekcji ołtarze boczne poświęcone być miały czci błogosławionych mężów z rodu Poraitów. Oto w jednym z ramion krzyża, stanowiących kaplicę, umieszczony był obraz Św. Wojciecha i Bł. Bogumiła, a w drugiej bł. Wincentego Kadłubka i Michała Giedrojcia—obrazy te wielkich zalet artystycznych przeniesione są obecnie do głównej nawy.

W połowie XVIII w. prebendarzem był biskup łucki i brzeski Antoni Wołowicz, który opatrzył kościół w bogate sprzęty i liczny aparat. Ponieważ prebenda ta była bez żadnych obowiązków parafialnych, ubiegali się przeto o nią biskupi.

Po śmierci Wołowicza otrzymał na nią prezentę Feliks Turski, naówczas chełmski, później krakowski biskup.



KOŚCIÓŁ W STRZAŁKOWIE.



DRZWI BOCZNE KOŚCIOŁA.

Rząd pruski wyznaczył za odebrane dobra prebendarzowi w Strzałkowie około 16,000 złp. rocznie, do roku zaś 1865 prebendarz ten pobierał z kasy powiatowej pensji rocznej dla siebie i organisty 1554 złp.; obecnie wypłata ustała i prebenda przestała istnieć. Kościół, pozostawiony bez fundatorów, utrzymuje się z ofiarności publicznej i stanowi filię kościoła parafialnego w Radomsku.

Rozglądając się po szacownych jego murach, napróżno szukamy jakiego, choćby najmniejszego obrazka, którymby Siemiradzki przyozdobił domową niejako kaplicę. Przeciwnie, za jego to czasów, gdy dachy zaciekały, kazano je wprawdzie poprawić, lecz przytem pozacierano niemiłosiernie freski ozdabiające sklepienie. Wtedy to pod war-

stwą wapna zniknął i portret biskupa Kobielskiego.

Nieopodal kościoła widzimy dworek, na którym znać liczne przebudowy. Stoi on prawie pustką, gdyż rodzina artysty przeniósł się na stałe pod włoskie niebo do Florencyi, a polska ich siedziba ulega stopniowej parcelacyi. W dawnej pracowni artysty na piętrze dziś prozaiczna spiżarnia.

Jedyna, nienaruszona pamiątka po wielkim artyście, to olbrzymia lipa przed dworem, pod którą lubiał on wysiadywać, tworząc może plany do obrazów, które imię jego rozstawić miały po świecie.

*M. R. Witanowski.*



## Gdzie niegdyś były u nas cisy i modrzewie.

(Dokończenie).

Wyrażenia: Cisow, Cisowa, Cisowo, Cisowe oznaczały znacznie większą przestrzeń cisiny; otóż jeżeli była to przestrzeń mniejsza, nieznaczna, mówiono: Cisówek, Cisówka i stąd to Cisówek: 1) 2 wsie w pow. suwalskim, 2) wś. w augustowskim, stąd to także Cisówka: 1) wś. w rybnickim; 2) wś.

w nowomińskim. Przymiotnik od cis mógł także brzmieć: cisk-a-o, później: ciski-a-ie, a także cisl(y)-a-o, to też obok: „cisow las“, mówiło się także: „cisk las“, później „ciski las“, a obok „cisowa gora“ (dolina, polana, okolica)—„cisna (góra, dolina i t. d.)—i stądto mamy: Cisk: 1) wś.



w ostrołęckim, 2) wś. na Górnych Łużycach; Cis-  
ski w pułtuskim i Cisną, wś. w liskim w (Gali-  
cya), od czego Ciśnianka, potok, tamże. Od  
lasu cisowego otrzymał nazwę i potok Ciśnie-  
wa koło Sidziny w pow. myślenickim.

Na podstawie nazw miejscowych możemy te-  
dy z całą pewnością wnioskować, że cis w zie-  
miach rdzennie polskich, w dzisiejszem Król.  
Pol., w Prusach Zachodnich, w Poznańskim, na  
Śląsku i w Galicyi był dość rozpowszechniony.  
Miejscowości, o których była mowa, zwały się tak  
od cisa już wtedy, gdy na nich drzewo to ro-  
zło; gdy je wykarczowano i na tem miejscu powstały  
osady ludzkie, nazwy, dawno dla miejscowości  
tych ustalone, przeszły teraz na te osady.

Nie umiem powiedzieć, dla czego drzewo to  
tak niszczone, wiem tylko, że robiono z niego  
piękne stoły (zapewne dla tego, że się drzewo to  
daje dobrze wygładzać), skoro stoły cisowe sły-  
ły w pieśniach ludowych weselnych polskich i rusiń-  
skich.

Musiał także cis odgrywać jakąś rolę w na-  
szych wierzeniach pogańskich, skoro Mazury  
(Pcim w Galicyi) w dzień Trzech Króli święcą  
kawałki cisa i używają ich do okadzania bydła,  
gdy je na wiosnę po raz pierwszy wypędzają w po-  
le, tudzież krów po ociełeniu, a wprawiają go  
także do stempli od maślniczek<sup>1)</sup>.

Przejdźmy teraz do modrzewia.

Otoż jak mamy miejscowości: Dąb, Buk, Ja-  
wor, Cis—tak mamy i Modrzew: 1) wś. w go-  
styńskim (gub. warszawska); 2) daw. Modrzewie,  
wś. Ieśną w łódzkim; 3) wś. w siedleckim; 4)  
al. Modrzewie i Modrzewek, 2 wsie w opoczyń-  
skim; 5) os. włośc. w słupeckim; 6) dobra w wło-  
szczowskim.

Jak mamy miejscowości: Dąbek, Buczek, Ci-  
sek i t. d. tak mamy i Modrzewek: 1) wś.  
w rawskim; 2) włośc. Modrzewie, wś. w piotr-  
kowskim.

Jak mamy miejscowości: Dęby<sup>2)</sup>, Buki<sup>3)</sup>,

1) Prof. dr. E. Janota: „Lud i jego zwyczaje”. I.  
„Zwyczaje Świąteczne”. Lwów, 1878. Str. 57.

2) Dęby—wieś w błońskim, 2 wsie w kolskim,  
os. w tureckim, folw. w konińskim, os. w częstochow-  
skim, wieś w łaskim, w przasnyskim i w kolneńskim.

3) Buki—miasteczko w humańskim, wieś w skwir-  
skim i dziśieńskim.

Graby<sup>1)</sup>, Jawory<sup>2)</sup> itd., tak mamy i Modrze-  
wie: 1) wś. w łżeckim; 2) kol. w rypińskim  
(gub. płocka); 3) folw. w wągrowieckim; 4) dziś  
Modrzew, wś. w łódzkim; 5) Modrzynie, wś.  
w lipnowskim (gub. płocka).

Jak mamy Lipiec, Dębowiec, Jaworzec, Jawo-  
rowiec i t. d., tak mamy i Modrzewiec: 1)  
os. w wieluńskim; 2) folw. w piotrkowskim.

Jak mamy miejscowości: Dębina<sup>3)</sup>, Lipina<sup>4)</sup>,  
Olszyna<sup>5)</sup>, Leszczyna<sup>6)</sup> i t. d., tak mamy i Mo-  
drzewina, os. włościańska w kozienickim.

Przymiotnik od rzeczownika: „modrzew” brzmiał  
„modrzewi-ia-ie”, stąd Modrzewie Pole, Jan we  
wsi Kłomnicach w pow. noworadomskim.

Dzisiejsze Król. Pol. miało tedy w znacznej  
ilości, nawet po prawej stronie Wisły (gub. sie-  
dlecka i płocka), modrzewie, które się jednak da-  
leko poza Wisłę na wschód jak się zdaje nie wy-  
chylały.

Tak co do cisa, jak i modrzewia, czerpaliśmy  
nazwy ze źródła najbardziej wyczerpującego, tj.  
ze Słownika geograficznego, ale Słowni-  
k ten, dzieło z pewnością niepospolite, zwię-  
ża na nasze czasy i stosunki, nie daje naturalnie  
wyczerpującego obrazu nazw miejscowych, każda  
bowiem miejscowość, w Słowniku wymieniona,  
obejmuje nieraz wielkie obszary ziemi, na których  
mnóstwo jest jeszcze specjalnych nazw w Sło-  
wniku nie podanych. Gdybyśmy mieli i te spe-  
cjalne nazwy, mogliśmy dać dokładniejszy obraz  
rozmieszczenia u nas niegdyś cisa i modrzewia  
i rozwiązać tyle innych zagadek, dotyczących na-  
szej ziemi i kultury. To było powodem, że lu-  
dzie, jak np. Gloger, nawoływali i nawołują ciągle  
do zbierania nazw miejscowych — niestety bez  
skutku.

S. Matusiak.

1) Graby—wieś w pińczowskim, kol. w nowo-  
radomskim i wieś w wileńskim.

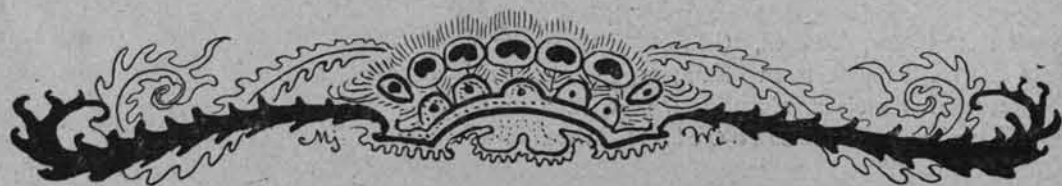
2) Jawory—wieś w szremskim.

3) Dębina—w samem Król. Polskim 14 miej-  
scowości.

4) Lipina—w samej Galicyi 13 miejsc.

5) Olszyna—wieś w brodzkim, w ostrzeszow-  
skim itd.

6) Leszczyna—wieś w bocheńskim, w mław-  
skim, rybnickim itd.



# Jeziro Chodeckie.

Pośród jezior kujawskich najpiękniejsze pod względem malowniczości krajobrazu jest bezwątpienia jezioro Chodeckie.

Położone we wschodniej części Pojezierza Wielkopolsko-Kujawskiego, stanowiącego pod względem orograficznym ogniwo, łączące wyniosłości nadbałtyckie z wyżyną Śląsko-Polską<sup>1)</sup>, posiada jezioro Chodeckie ogólny charakter jezior tego obszaru, wyrażający się przede wszystkim w ich „strumieniowości”. Jeziora te bowiem zajęły koryta starodawnych rzek polodowcowych i wszystkie posiadają znaczną długość przy niewielkiej stosunkowo swej szerokości, przyczem występują szeregiem, ciągnącymi się od południa ku północy.

Długość jeziora Chodeckiego wynosi 4 kilometry<sup>2)</sup>, średnia szerokość 0,25 klm., wobec czego powierzchnia jego wynosi 1 klm. kw. Głębokość jeziora jest znaczna, dochodzi bowiem w niektórych miejscach do 19 metrów.

<sup>1)</sup> Rehman, Ziemie dawnej Polski. 1904.

<sup>2)</sup> Podług pomiaru na Topograph. Special-Carte von Mittel-Europa z podziałką 1 : 200000.

Jeziro Chodeckie składa się z dwóch części nierównych, łączących się na przestrzeni 0,25 klm., wąską stosunkowo i zarośniętą cieśniną, zwaną „rzeką” przez ludność miejscową.

Rozpadnięcie się jeziora na części i miejsca zarośnięte świadczą, że było ono niegdyś niewątpliwie większe, aniżeli jest dzisiaj.

Z północnej strony jeziora wypływa struga, przepływająca przez dwa stawy, należące do majątku Strzyg i w dalszym ciągu wpadająca do jeziora Lubienieckiego, łączącego się podobną strugą z jeziorem Uklejnicko - Szczytnowskim i dalej na północ położonymi jeziorami Borzymowskim i Siewierskim. Jeszcze dalej struga owa



OLBRZYMI POPŁOCH.

Fot. L. Ostaszewski.



CIEŚNINA ŁĄCZĄCA DWIE CZĘŚCI JEZIORA.

Fot. L. Ostaszewski.



KOŚCIÓŁ ŚW. JAKÓBA  
W CHODCZU.

Fot. L. Ostaszewski.

płynie przez obszary, należące do wsi Świątnik, Kłobi i Ossowa, i wreszcie pod osadą Lubrańcem wpada do rzeki Zgłowiączki, lewego dopływu Wisły, mającego swe ujście pod Włocławkiem.



WJAZD DO OSADY CHODCZA.

Fot. L. Ostaszewski.

Brzegi jeziora Chodeckiego są przeważnie wyniosłe, znalazło się bowiem ono na terenie, którego poziom wynosi średnio 116 metrów, przy czym wzniesienie najwyższe w okolicy jeziora, bo wynoszące 122 m., znajduje się w jego stronie północno-zachodniej.

Tymi wysokimi brzegami wyróżnia się jezioro Chodeckie wśród innych jezior kujawskich, nie łącząc Gopła, i im właśnie zawdzięcza wspomnianą wyżej malowniczość. Jeżeli do tego dodamy obramowanie brzegów bądź przez zagajniki z drzew iglastych, porastające ich zbocza, bądź przez przeszłiczne, słoneczne gaje brzożowe, bądź przez olchy — mityśnice wilgoci, przeglądające się wespół z tatarakiem lub sitowiem w zwierciadlanej powierzchni jeziora o wschodzie i zachodzie słońca, otrzymamy całość krajobrazu nadzwyczaj piękną i malowniczą.

W miejscach zarośniętych jeziora, a zwłaszcza w owej wyżej wspomnianej „rzece“, oprócz w rzecznika, tworzącego niby dno podwójne, prócz okazałych o dużych okrągłych liściach i białych kwiatach grzy-

bieni wodnych i nieco skromniejszych, o płatkach koloru złota ich krewniaków—grązeli, spotykamy, jakby dla uzupełnienia krajobrazu, różno wznoszące się nad wodą białokwiaty pióra wodnego czyli osoki (*Stratiotes aloides*).

Pewnego rodzaju osobliwością flory tutejszej są olbrzymie, o skrzydlatych łodygach, popłochy (*Onopordon acanthium*), dające się dość często spotykać w okolicach jeziora.

Gdzieniegdzie spotykamy na jeziorze stopy narzuconych gałęzi, stawidła i tym podobne ślady rozwiniętego tu rybołówstwa.



JEZIORO CHODECKIE.

Fot. L. Ostaszewski.



RYBAK Z „KORBYLAMI“.

Fot. L. Ostaszewski.

Aczkolwiek w jeziorze znajdują się rozmaite gatunki ryb, a między niemi w przeważającej ilości zwykli mieszkańcy wód stojących o dnie gęsto zarosłem — liny, to jednak rybacy miejscowi zajmują się głównie połowem raków, których duże ilości wywożone są stąd do Niemiec.

Raki te łowione są za pomocą specjalnych siatek, zwanych przez rybaków tutejszych „korbylami“<sup>1)</sup>. Mają one wygląd plecionych ze sznurka

<sup>1)</sup> Niewątpliwie zepsuty wyraz francuzki — corbeille.



Fot. L. Ostaszewski.

O ZACHODZIE.

koszyków, wewnątrz których umieszczona bywa na przynętę mała rybka i kamień, jako balast. Siatki te zapuszczane bywają na noc do wody wzdłuż brzegów na pewnej od siebie odległości i zbierane rano z obfitym połowem.

W stronie północno-wschodniej jeziora leży osada Chodecz, dawniej miasteczko, założone przez Jana Kretkowskiego, podstolego Ziemi Dobrzyńskiej i starostę brzeskiego, na mocy przywileju, wydanego w Budzie r. 1442 przez Władysława, króla węgierskiego i polskiego, i pozwalającego na przeistoczenie wsi dziedzicznej Chothecz na miasto, obdarzone prawem chełmińskim. Pomimo jarmarków, nadawanych przez Zygmunta, Jana Kazimierza i Stanisława Augusta, miasto wskutek klęsk krajowych podupadło i na osadę wiejską zamienione zostało. Dopiero w r. 1822 na domaganie się ówczesnego dziedzica, Ignacego Lipskiego, wyniesione zostało napowrót do rządu V miast. Obecnie jest osadą, liczącą przeszło 1300 mieszkańców, dosyć schludną i spokojną. Ruch ożywia się w dni jarmarczne lub w niedziele i święta, kiedy okoliczni mieszkańcy dążą



do kościoła parafialnego, odbudowanego po spaleniu w r. 1844 kosztem i ze składek parafian, albo do znajdującego się tu kościoła ewangelickiego.

Prócz kościoła parafialnego istnieje na cmentarzu również murowany kościółek św. Jakóba, założony przez jednego z potomków dawno tu na Kujawach osiadłego rodu szlacheckiego, Jakóba Zygmunta Kretkowskiego, jak o tem świadczy następujący napis na tablicy, wmurowanej przed wejściem:

D. O. M. Jacobus Sigismundus a Kretkowy Kretkowski Capitaneus Prædecensis Ordinis S. Stanislai Eques proprio sumptu erexit 1799.

Obok kościołka z jednej strony mieszczą się katakumby, z drugiej zaś przytułek dla starców.

Na cmentarzu znajduje się grób rodziny Matlakowskich, mieszczący w sobie zwłoki d-ra Władysława Matlakowskiego, znanego badacza budownictwa podhalańskiego.

Jezioro Chodeckie, którego krótki opis podaję, zasługuje ze wszechmiar na zbadanie szczegółowe, na co dawno czekają wogóle jeziora wielkopolsko-kujawskie.

*L. Ostaszewski.*



# LEGENDA WIGILIJNA.

W wyniosłym zamku, wzniesionym na szczycie stromej skały, mieszkał rycerz sławny z męstwa i odwagi. Było to w czasach, kiedy królewicze poślubiali pasterki, a przeciwnie pasterze królewny. Otóż i młody rycerz pokochał i wzajemnie kochany był przez młodą pasterkę. Jednego razu kraj zaczęli pustoszyć Tatarzy, więc młodzian nie zwlekając chwili, choć to był dzień radosnego święta, bo wigilia Bożego Narodzenia, stanął w szeregu obrońców przed najazdem dzikich barbarzyńców. Dziewczę swoje pożegnał i obiecał, że jeżeli tylko żyć będzie, wróci do niej i kiedy za rok gwiazdka wigilijna zapłonie na niebie, ona też będzie należała do niego.

Mijały jednak dni, miesiące, w końcu rok cały upłynął, a stęskniona kochanka nie miała o rycerzu żadnej wieści.

Na niebie zapłonęła gwiazdka Betlejska, za nią druga, trzecia i czwarta, aż wreszcie dziewczątka straciła nadzieję, że Bóg wysłucha modłów jej o opiekę nad ukochanym, i postanowiła resztę życia poświęcić zdala od ludzi w ustronnej puszczy leśnej modlitwie i umartwieniom. Wigilia przypominała jej bolesną chwilę rozstania i właśnie błądząc po puszczy załamywała ręce z rozpaczą nad swoją dolą i niemą skargę słała ku skrzącym na niebie gwiazdom, gdy nagle dobiegł uszu jej

cichy jęk; pośpieszyła tam skąd głos ten dochodził, i pełna zdumienia w leżącym na ziemi nieszczęśliwym poznała ukochanego rycerza. Wrócił on do zamku, a nie zastawszy dziewczęcia we własnej jej chacie, leżącej opodal zamczyska, postanowił odszukać ją w puszczy. Napotkany jednak niedźwiedź, zbudzony w swojej kryjówce, rzucił się na niego, i pokaleczył śmiertelnie młodzieńca. Dziewczę, ujrawszy ukochanego pokrytego straszными ranami, w rozpacz swej stanęła bezradna a potem padając u stóp jego na kolana, krzyknęła boleśnie „Maryo ratuj!” i pełna bólu uniosła dłonie swe ku niebu.

W tej chwili puszcza oblała się słonecznym blaskiem, z niebios zstąpiła świetlana postać Matki Bożej i biorąc dziewczę zaprowadziła ją opodal do źródła, które cudem nagle wytrysło. „Obmyj rany tą wodą, a wrócisz ukochanemu swemu zdrowie i życie”, rzekła Boża Rodzicielka ze słodyczą w głosie. W noc więc czarów, w noc dziwów — w noc Narodzenia Chrystusa powstało pierwsze źródło w Ciechocinku — a odkryła je miłość i wiara<sup>1)</sup>.

*Ignacya Piątkowska.*

<sup>1)</sup> Legenda spisana z ust ludu w okolicach Ciechocinka.



## DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



### 16. Pałac w Rydzynie.

Świeżo zapadły wyrok najwyższego trybunału Rzeszy niemieckiej w Lipsku poruszył znowu w polskiej opinii publicznej bolesną i drażliwą sprawę rydzyńską. Zaprzepaszczony został ogromny kęs ziemi i jedna z najpiękniejszych rezydencji polskich w Poznańskim, a jakkolwiek wyrok niniejszy jest ostatecznym ulegalizowaniem (?) faktu dokonanego, jakkolwiek rząd pruski objął we władanie Rydzynę blisko od roku, nie można zaprzeczyć, że cios jest potężny, szkoda niepowetowana, a poczucie krzywdy i bólu więcej niż kiedykolwiek usprawiedliwione.

I jakkolwiek trudno jest odgadywać nieprzeniknione ścieżki, któremi bieg dziejów potoczyć się może w przyszłości, to jedno jest pewne, że na razie nie pozostaje nic, chyba rezygnacja, chyba ratowanie innych punktów niemniej zagrożonych. I chyba stwierdzenie po chłodnym a stanowczym namyśle, że przegrana bitwa nie jest przegraną wojną, że cios nie jest klęską, a żal i gorycz nie powinny przeradzać się w popłoch ani zwątpienie.

Prawdę powiedziawszy, te ręce, które teraz Rydzynę zabrały, wyciągały się po nią oddawna. I co sarkastycznym już wprost uśmiechem twarz może wykrzywić, wyciągały się z naszą wiedzą i zezwoleniem. Już w wieku XVII równie Rydzyna jak pobliskie Leszno były tak zniemczone dobrowolną kolonizacją polskich magnatów, jak gdyby stopy prawych posiadaczy tej ziemi pa-

rzyła ta ziemia oj-cowska. W w. XVIII Sułkowscy stawiają w Rydzynie zbór protestancki, co wprawdzie pięknie świadczy o ich tolerancji, ale stwierdza zarazem ubocznie wielką ilość żywiołu całkiem obcego na rdzennie polskim obszarze. A o tem, czem byli sami Sułkowscy wspomnieć trzeba będzie choćby słów kilka, nietyle dlatego, żeby ich dzieje w Polsce były czemś wielce ważnym albo niezwykłym, ale że to z dzisiejszym stanem posiadania w tamtejszej okolicy stoi

w związku dość przyczynowym.

Pierwszym twórcą pałacu i twórcą świetności rodu był Józef Aleksander, syn małego szlachetki mazurskiego, cząstkowego posiadacza Sułkowa borowego w Mławskim, później faworyt i minister Augusta III, poprzednik i ofiara Brühla, jedna z potężniejszych wpływem i znaczeniem postaci Europy ówczesnej, figura w gruncie rzeczy dość mała i nam dość obojętna. W każdym razie już się w nim zaznaczały cechy, które się później przez półtora wieku uwydatniają w Sułkowskich, które w pierwszym pokoleniu krystalizują się we wspaniałym pomniku dumy rodowej, rezydencji rydzyńskiej, a w ostatnim prowadzą do jej zraty. Duma i obcość. Bo nawet w ówczesnym skosmopolityzowanym społeczeństwie w. XVIII nie był częsty widok magnata polskiego, choćby nawet z jakąś panną v. Stain in Jettingen żonatego, którego dzieci, potentaci i dygnitarze koronni, do śmierci mówią lichy po polsku, słabo rozumieją język, a jeszcze mniej ducha własnego narodu. A że dumnym, ten kto stawiał pałac rydzyński, był napewno do ostatniej swej żyłki—to po dziś dzień wylania się z każdego załamku tych murów.

Nie od rzeczy może będzie pamiętać, że twórcy blasku Rydzyny chciał Kołłątaj w swoich dziejach Europy XVIII stulecia poświęcić jeden rozdział pod niepozobawionym znaczenia tytułem: „Ks. Al. J. Sułkowski, jego obyczaje, gust, wspaniałość i rezydencja w Rydzynie“.

Nie wiem o ile prawdziwa, o ile nawet prawdopodobna jest wersja o orzeczeniu Wilhelma I, który miał jakoby żałować, że tak pięknych jak w Rydzynie komnat nie posiada w żadnej ze swych rezydencji. Ale jeśli byśmy nawet odłożyli część tej tradycji rodzinnej na karb próżności, a drugą nie mniejszą przypisali łaskawie lekceważącej uprzejmości rzekomego komplementu, pozostanie jeszcze coś nie coś, co niezupełnie mija się z prawdą, co istotnie każe ten gmach olbrzymi, dzieło pomysłu jednego architekta i świadomej woli jednego właściciela wysunąć z szeregu.

Mniejsza o rozmiary, bezspornie ogromne (45 na 48 mtr. i 360 okien), mniejsza o pierwsze zaczątki murów, dźwigniętych pierwiastkowo jeśli nie przez Rydzyńskich, których pomniki są po dziś dzień w tamtejszym kościele, to napewno przez jednego z Leszczyńskich, do których dobra należały tak długo, aż im się z nich po przymusowym wyjeździe króla Stanisława kazano wyprzedzić.

Bo po pierwsze, gmach uzupełnił, zaokrąglił czy raczej doprowadził do czworoboku (z pierwotnego kształtu litery L jako inicjału nazwiska) dopiero Sułkowski, a powtórnie nie tylko w samej budowl, ale w całym jej otoczeniu przebija się w jednolitej czystości schyłkowego baroku jeden styl, jeden człowiek, choćby odradzający się w potomkach, jedna wola, choćby natężona przez lat kilkadziesiąt. I choćby zawałił się wspaniały portal wejściowy z herbową tablicą, choćby padły dwa słupy kamienne przed nim stojące z datami budowy pałacu, przecie koło murów jego będzie się błąkało wspomnienie Sułkowskich, nie anonimowego architekta, który dał z siebie plany i pomysł gmachu. Jest to fakt charakterystyczny: w XVIII wieku, w wieku, który nam przekazał nazwiska twórców skromnych nawet kamienic warszawskich, nazwisko autora jednej z piękniejszych i większych budowli świeckich w Polsce pozostało po dziś dzień nieznaną i takim pozostanie zapewne na zawsze. Mogą się co najwyżej panowie w rodzaju zachłannego Kämmerera lub nawet spokojniejszego Kohtego wysilać na teoretyczne dowodzenia, że twórcą pałacu w Rydzynie musi być Niemiec, pewnego nie potrafią powiedzieć nic więcej od nas, nic ponad to, że wykonawcą technicznych planów był początkowo od roku 1742 Karol Marcin Frantz z pobliskiego Leszna, później z czasów wykończenia pałacu Ignacy Graff.

A teraz, żeby już skończyć z wielkim protoplastą książęcego rodu, jedna kartka z dziejów pałacu i człowieka, dziwaczna, jak je tylko mógł z siebie wydawać w. XVIII, będąca sama w sobie przedziwną tragifarsą, zabawna choć się bezsprzecznie do śmierci dumnego magnata mogła przyczynić. Kłębila się i szamotała cała Europa

w zamęcie wojny siedmioletniej. Sułkowski, który jako książę na Rydzynie i szlachcic polski mógł być zdaniem swoim z całym światem wojować, który jeszcze niedawno odprowadził całkiem monarchiczne wjazdy do Leszna, był prócz tego księciem Bielska i jako taki, jako wierny poddany Maryi Teresy zaczął gromadzić wojsko i podobno... przeskadzać Prusom. Ale stary Fryc, który wogóle miał o żartach dość swoiste i jednostronne pojęcia, przeszedł go niebawem śmiałością poglądów, porwawszy przeciwnika z jego własnego pałacu, z neutralnego gruntu Rzeczypospolitej i przetrzymawszy 16 miesięcy w swojej Głogowie. I niedość, że uwięził, ale jeszcze w grzecznym usprawiedliwianym się liście po uwolnieniu zaznaczył: „jakkolwiek bądź możesz być księciem, nie do tego jednak stopnia by ze mną wojować”. To bodaj że istotnie skróciło dostojne dni lennika Maryi Teresy.

Po nim wziął Rydzyne najstarszy z synów August wojewoda najprzód gnieźnieński, później kaliski i poznański, szambelan Stanisława Augusta i rzeczywisty radca tajny w Wiedniu, marszałek Rady nieustającej i wielki sędzia zakonu maltańskiego, par angielski i grand hiszpański, kawaler, którego pierś zapełniały orderzy, a całkowity tytuł w „Złotej księdze szlachty polskiej” Żychlińskiego zajmuje dwanaście wierszy. Że był nawet w ówczesnej nad wszelką miarę próżnej Polsce człowiekiem jednym z próżniejszych, to jest rzecz obojętna. Ważniejsze jest w danym wypadku, że był twórcą ordynacji rydzyńskiej, ostatniej co do czasu w niepodległej Polsce, (a dodajmy też dla sprawiedliwości twórcą szkół piarskich w Rydzynie i nawet szkoły kadetów tamże, wzorowanej na słynnym korpusie kadetów w Warszawie, którego był drugim komendantem. Za jego już czasów pałac wykończono zupełnie, wybudowano najpiękniejszą z sal—teatralną z dość lichym zresztą sufitem gipsowym, wspaniałą oranżeryę, a prawdopodobnie i budynki stojące już za fosą od strony Leszna i posąg konny Sobieskiego, depczącego Turka<sup>1)</sup>). Do ordynacji, którą zatwierdził sejm z r. 1783, przystąpił z braćmi Aleksandrem, Franciszkiem i Antonim, którzy mieli w razie braku potomstwa po nim ordynację dziedziczyć o ileby w ciągu lat dwóch z przypisem conajmniej poło-

<sup>1)</sup> Zanotujmy przy sposobności, że z owych czasów pozostała po Sułkowskich w Warszawie pamiątka w postaci nazwy „na Sułkowskim”, nadawanej ich pałacowi z teatrem (drugi teatr był w Rydzynie) przy Nowym Świecie Nr 1315/64. Inną nieruchomość zwaną „Rydzyną”, coś w rodzaju domu gościnnego, w którym zresztą nawet tacy goście jak Karol XII przemieszkowali, mieli przy ul. Trębackiej, ówczesnej Dziekańskiej, (Nr 634—obecny hotel Rzymski).

wy majątku swego przystąpili. W razie wygaśnięcia zaś lub nieprzystąpienia do ordynacji tych czterech linii głównych mieli dziedziczyć spadkobiercy drugiego stopnia, o ileby z przypisem trzech części swojego majątku do ordynacji przystąpić zechcieli, przyczem potomkowie płci męskiej, mogli nawet w razie nieprzystąpienia do ordynacji ojca prawa swoje odzyskać przez zeznanie po dośnięciu do 24 lat trzech części dóbr swoich. Po wygaśnięciu wszystkich linii dziedziczyć miała Komisya Edukacyjna.

Trzy pierwsze linie odpadły jednak od ordynacji niebawem. Pierwsza i druga w osobach ks. Augusta i Aleksandra przez ich śmierć bezpotomną, trzecia w osobie Franciszka przez wyrzeczenie się praw swoich i założenie samodzielnej ordynacji bielskiej, do dziś dnia przez jego całkiem zniemczone potomstwo posiadanej. Rydzyna przeszła na czwartego z braci, Antoniego, wojewodę kaliskiego, później z ramienia Targowicy w kanclerza koronnego. Gmach, który miał stanąć na litej opoce, pękał od samego początku.

Zanosilo się przez chwilę, że z tego pnia tak prędko zmurszałego strzeli żywym i bujnym pędem nowe życie. Jeszcze za czasów, kiedy stary, zaskorupały w etykiecie ks. August chodził przy szpadzie i w kapeluszu na przechadzki po ogrodzie rydzyńskim, błąkał się tam jak promień słońca po zatechłym pokoju syn ubożego krewniaka, młodzieńca Józef Sułkowski<sup>1)</sup>. „Błąkał się“ jest zresztą wyrażeniem nieco nieścisle, bo przyznać trzeba, że stary dziwak przywiązał się istotnie do chłopca, dał mu jeśli nie grunto- wne, to przynajmniej wedle swoich pojęć „świetne“ wykształcenie, woził do Wersalu, gdzie Marya Antonina, biorąc ślicznego malca na kolana, często się z nim pieściła, upatrywał mu żonę w córce bankiera nadwornego Laborde'a. Była nawet mowa o adoptacji. Chłopak istotnie był miły, nad podziw zdolny i wchłaniał w siebie wiedzę, przygotowując się do przeznaczanego mu przez opiekuna zawodu dyplomaty. Wówczas już zresztą był nieco jak na Rydzyne za śmiały, za odważny w sądach i upodobaniach. Do czasu ucho- dziło to. Tu i owdzie zdołał nawet w skamieniałym murze uprzedzeń starczych szczerbę wyłamać. Od bawiącego podówczas w Rydzyne Michała Sokolnickiego, jednego z najzdolniejszych później oficerów polsko-napoleońskich uczył się matematyki — co nie było w programie — kopał jakieś kanały i — chadzał w barwie pułku Sułkowskich lub mundurze kawalerów maltańskich. Ale przyszedł wyjazd do Warszawy, sejm wielki, olbrzymie za- kołysanie się mózgów i sumień. Młody człowiek

zaczął za śmiało mówić, co gorsza za śmiało myśleć. Skończyło się na odepchnięciu „źmii, wyhodowanej na łonie“. Wreszcie stary umarł niebawem i młodzieniec został dosłownie na bruku. Kim i czym był później, wiemy, choć doprawdy o wiele za mało. W tym młodym oficerze, który „nad cudną woń róży przekładał zapach prochu“, który według urzędowych doniesień szpiegów austryackich w Konstantynopolu „ładny był, jak piękna dziewczyna i miał oczy omdlewające“, a według Carnota, mógł być w razie śmierci Bonapartego zastąpić go bez straty czasu, tkwił może materyał na jednego z tych rzadkich zesłańców losu, którzy są najbardziej skryzalizowanym wyrazem geniusza rasy, o ile — jak w tym wypadku — nie giną w głupiej zamieszce ulicznej na dalekich, skwarnych piaskach Egiptu. Niestety tak mało wiemy o tym człowieku, który mógł być czemś na miarę istotnie wielką skrajany, że i w tych przewidywaniach poprzestać trzeba na przypuszczeniach.

Faktem jest, że młody pęd usechł, a ordyna- cya przeszła w ręce ks. Antoniego, a po nim sy- na jego Antoniego Pawła, człowieka bezspornie czystych chęci i czystych rąk, nie wykraczającego jed- nak poza przeciętność, pomimo buławy, którą przejął z martwych rąk ks. Józefa. Położył zresztą jako marszałek sejmów poznańskich pewne zasługi do- brych zamiarów i chęci, Rydzyne zaś przysporzył, właściwie przysporzyła żona jego, Ewa z Kickich, pięknego parku angielskiego składającego się z lip, buków i dębów i portret własny pędzla Bac- ciarallego.

A już się też i pod koniec miało krótkotrwa- łej świetności Sułkowskich. Z drugiej strony już się też się miało pod koniec polskości Rydzy- ny. Po śmierci syna ks. Antoniego-Pawła — ks. Augusta-Antoniego, który zagorzał w swoim pałacu, nad zwłoka- mi śpiewał chór miejski niemiecki, a po mowie późniejszego arcb. Stablewskiego, wygłoszono mo- wę niemiecką. Następny, piąty i ostatni ordynat rydzyński Antoni-Ryszard-Józef-Stanisław Kostka, był już Polakiem tylko z imienia, żonaty dwukrot- nie z cudzoziemkami, człowiek słabych rąk, słabej duszy i niemocnego umysłu. Było to już oczy- wiste staczanie się po pochyłości, zwłaszcza, że i z magnackiej fortuny ks. Aleksandra Józefa po- została zaledwie część czwarta, jakieś 15000 mor- gów. Już nawet na zupełne odnowienie pałacu nie starczyło sił czy woli. Z pierwszej żony hr. d'Alcantara, belgijskiej latorośli hisz- pańskiego rodu, było dwóch synów, zmarłych przedwcześnie; z drugiej, jakieś Pepity, śpie- waczki monachijskiej potomstwa nie było, a choć- by było nie mogło, o ile o utrzymanie ordynacji chodziło, wchodzić w rachubę. Zaczęły się nie- cne frymarki, starania o rozwiązanie ordynacji,

<sup>1)</sup> Syn Teodora, brata Józefa Aleksandra i matki nieznaney z nazwiska.



i haniebne targi za życia księcia między rządem pruskim—spadkobiercą Komisji Edukacyjnej i domniemanymi pretendentami z linii bocznych—hr. Antonim Wodzickim i Henrykiem Potockim. Wreszcie nadszedł kres. Wspaniałe zbiory broni, sreber, obrazów, gobelinów, olbrzymi zbiór korespondencji rodzinnych i pamiątek pierwszych Sułkowskich poszły w świat, czy sprzedane zostały z licytacji, na miejscu zostało trochę gratów bezwartościowych, może nieco wspaniałych roślin parusetletnich w cieplarni—i nadleśny pruski w pałacu.

I nicby w tej ruinie rodziny bez zasług nie było przerażającego, gdyby nie to symptomatyczne jakieś staczanie się pewnych wartości społecznych z wyżyn, na których mogłyby, jeśli nie rosnać, to trwać bodajby, jak stara sosna, co piasek trzyma pod korzeniami. I gdyby nie te 15000 morgów ziemi polskiej, co się wymyka z pod nóg...

Jest, był właściwie, w tym smutnym pomimo całą wspaniałość pałacu rydzynskim obraz, który dziwnie jakoś wplątał się w te niewesołe dzieje gasnącego rodu. Podług orzeczenia rzeczoznawców jest on pędzla Kliemanna, podług tradycji

nikt nie wie, kto go malował i skąd się tam wziął. Wisi w pokoju przy kaplicy pałacowej a przedstawia kobietę o dumnej twarzy i smutnych oczach. Nikt nie wie, kim była ta dama, ale w nocy często można ją spotkać na korytarzach pałacowych zatopioną w modlitwie i smutku. A raz w rok nadchodzi nad pałac czarna, bezbrzeżnie posępna chmura i wtedy już z wieczora wszystkich ogarnia niepokój. O północy drzwi kaplicy otwierają się same, bije z nich chłód lodowaty i kto ośmieli się spojrzeć, widzi na ołtarzu gorejące dziwnem, niebieskawem światłem świece i na stopniach kłęczącą kobietę z portretu. A wnet potem wchodzi ksiądz z dwojgiem dzieci w komeżkach i rozpoczyna się nabożeństwo. Ksiądz i dzieci są kościotrupy. Bezgłośnie odprawia się msza, tylko kłękot dzwonek, jakby kościanych, słychać czasami. Po skończonej mszy kobieta kłękła przed księdzem i zaczyna się spowiedź. Niewiadomo, co mówi grzesznica, ale widać straszne to dzieje, bo księdzu płynie kroplisty pot z czoła i trzęsąc ręką woła: „jeszcze nie w tym roku”, — potem wszystko zapada w ciemność.

T.



## Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Dnia 19 października odbyła się ostatnia tegoroczna wycieczka z Piotrkowa do Radomska i Strzałkowa w gronie kilkunastu osób. Po zwiedzeniu dawnej siedziby mistrza Siemiradzkiego, towarzystwo oglądało pamiątki Radomska oraz jedną z największych fabryk

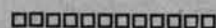
mebli giętych Thonetów (2000 robotników). Wszelkie ułatwienia wycieczce czynił p. Antoni Kałczyński, dziennikarz, którego staraniem a dobrą wolą kilku jeszcze osób, powstać ma w Radomsku nowy oddział naszego Towarzystwa.

Dnia 26 tegoż miesiąca odbyło się w Piotrkowie zebranie członków i wprowadzonych gości; uczestniczyło w niem 40 osób. Posiedzenie rozpoczął p. Leopold Szałowski, referując ogólne sprawy i potrzeby Towarzystwa. Postanowiono poprzeć zabiegł Zarządu Głównego koło rozpowszechnienia czasopisma „Ziemia” pomiędzy wszystkimi członkami oddziału jako swego organu. Po załatwieniu spraw bieżących prezes oddziału p. M. R. Witanowski zaznajomił zebranych z nowym przyczynkiem do dziejów Piotrkowa. Złożono na jego ręce paczkę starych dokumentów, dotyczących przeszłości jurydyki zw. „Biskupie”, dzielnicy niegdys Piotrkowa,

o której to nazwie zaginęła pamięć wśród jego mieszkańców. Wiązka tych oryginalnych dokumentów, odnośnych planów, ordynacji itp. aktów, oprawiona w jeden volumen, złożona została przez prelegenta do zbiorów Towarzystwa. Uznano za pocieszające zjawisko, że Towarzystwu Krajoznawczemu posiadacze starych dokumentów składają swe zbiory, które z czasem dorzucą nie jedną cegiełkę do przyszłego gmachu historii miast i poszczególnych okolic kraju.

D. 27 z. m. o g. 5 po południu, w wielkiej komnacie Towarzystwa Dobroczynności, odbył się odczyt prof. Wacława Jacuńskiego p. t. „Skarby polskie w Karpatach” — urządzony staraniem zarządu oddziału piotrkowskiego. Wygłoszenie tej interesującej prelekcji w Warszawie, Radomiu i Kaliszu — uwalnia nas od jej streszczenia. Zaznaczyć jedynie należy głębokość myśli i wytworność wystąpienia prelegenta, za które też licznie zebrani słuchacze, dziękowali mu niemiłkącymi oklaskami.

Sekcja wycieczkowa oddziału sosnowickiego organizuje następujące wycieczki: 1) dnia 11 grudnia o godz. 9 rano do Sielca dla zwiedzenia zakładów przemysłowych hr. Renarda; 2) dnia 26 i 27 grudnia do Krakowa; 3) dnia 23 do 28 grudnia do Zakopanego; 4) dnia 6, 7 i 8 stycznia 1911 r. do Warszawy.



## Z piśmiennictwa.

Z początkiem roku 1911 zacznie w Warszawie wychodzić nowy organ naukowo-popularny pod tyt. „Biblioteczka Rolnicza”, miesięcznik, poświęcony sprawom gospodarczym pod kierunkiem komitetu redakcyjnego i wydawniczego: pp. S. Biedrzyckiego, W. J. Zielińskiego i W. Berezowskiego. Miesięcznik ma być poświęcony zagadnieniom gospodarczym z uwzględnieniem najbardziej aktualnych w danej chwili, podawać będzie ostatnie zdobycze wiedzy i wskazówki praktyczne z zakresu gospodarstwa rolnego. Bardzo dostępne warunki przedpłaty i szereg poważnych współpracowników, pozyskanych do opracowywania działów specjalnych, pozwalają przypuszczać, że nowy warsztat pracy kulturalnej znajdzie odpowiedni oddźwięk w szerokich kołach naszych rolników i że godnie odpowie odczuwanej w dziedzinie tej potrzebie krajowej.

*K. K.ć.*

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

Otrzymałmy ze Lwowa wiadomość o śmierci Maryana Horowitza, sekretarza Akademickiego klubu Turystycznego, która nastąpiła dnia 5 grudnia r. b. Bratniej instytucji przesyłamy wyrazy współczucia.

◆ ◆ ◆

### Od Akademii Umiejętności w Krakowie.

#### Odezwa Komisji literackiej.

Komisja dla dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. zw. Komisja Literacka Akademii Umiejętności w Krakowie, ma zamiar wydać dokładny spis wszystkich bibliotek i archiwów publicznych i prywatnych, znajdujących się na ziemiach, które przed r. 1772 państwo polskie stanowiły, oraz istniejących gdzieindziej, lecz zawierających w znacznej części rzeczy polskie lub będących w rękach polskich.

Spis ten ma zastąpić przestarzałą i pod wielu względami już niedostateczną „Wiadomość historyczno-statystyczną o znakomitszych bibliotekach i archiwach publicznych i prywatnych... w Królestwie Polskiem, Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i zachodnich guberniach Państwa Rosyjskiego...”, ułożoną przez Franciszka Radziszewskiego (Kraków 1875).

Pożądane są tedy treściwe informacje o bibliotekach i archiwach rządowych i prowincjonalnych, urzędów i innych organizacji państwowych, wszelkich instytucji duchownych wszystkich wyznań i narodowości, kościołów, klasztorów, cerkwi, synagog, gmin wyznaniowych itd., miejskich, gminnych, szkół wszelkiego stopnia, zakładów i towarzystw naukowych, literackich i artystycznych — oraz i przedewszystkiem informacje o bibliotekach i archiwach rodzinnych i prywatnych.

Upraszamy zatem najuprzejmiej wszystkich P. P. Właścicieli i Kierowników bibliotek i archiwów, tudzież wszystkich miłośników nauki i literatury o łaskawe nadsyłanie wiadomości pod adresem: Dr. Józef Korzeniowski, sekretarz Komisji Literackiej, Akademia Umiejętności, Kraków.

Wszystkie pisma polskie prosimy o przedrukowanie tej odezwy.

W Krakowie, w listopadzie 1910.

Sekretarz Komisji Literackiej

*J. Korzeniowski.*

◆ ◆ ◆

+ Dobra Aleksota i Fredra w pow. maryampolskim gub. suwalskiej, dotychczasowa własność b. posta do Rady państwa Stanisława Gawrońskiego, kupione zostały z licytacji w sądzie okręgowym za 332,500 rb. przez fabrykanta kowieńskiego, żyda, Tillmansa.

Niegdyś olbrzymie pustkowie, ciągnące się na lewym wybrzeżu Niemna, po upadku Rzplitej kupione zostały za bezcen od skarbu przez Józefa Gozdawę Godlewskiego. Umierając w r. 1867 b. poseł na sejm kongresowy pozostawił spadkobiercom 2000-włokowy obszar z trzema miasteczkami, 25 folwarkami wzorowo zagospodarowanymi, przeszliczną wielkopańską rezydencją we Fredzie i dawniejszą wsią Aleksotą, jego staniem zamienioną na przedmieście Kowna i dziś połączonem z niem mostem stałym. Od Godlewskich dobra te przeszły drogą spadku do rodziny Gawrońskich, a dziś już są w rękach obcych.

Podobno przytem ze zmianą właściciela mogą być wywłaszczeni włościanie, którzy w dobrej wierze nabyli kawały ziemi, obciążonej długami.

◆ ◆ ◆

Granice rozszerzenia różnych narodowości i języków na Litwie nie są dotychczas zbadane zupełnie dokładnie. Najważniejszą bezwątpienia w tym zakresie jest praca Anonima, ogłoszona w rozprawach Akademii Umiejętności w Krakowie. Obecnie próby wytknięcia granicy języka litewskiego w gub. wileńskiej dokonał znowu p. Kg. w Nr 89 pisma Lietuvos Žinios. Autor opiera się na materiałach, znalezionych w rozmaitych czasopismach, na poszukiwaniach różnych osób pojedynczych, zwłaszcza J. J. Bagdona. tudzież na wiadomościach, otrzymanych od zwierzchności dyecezyj wileńskiej, słusznie się zastrzega przytem autor, że granicy tej nie należy uważać za niewzruszoną.

Z zestawień tych p. K. G. wyciąga wniosek, że język litewski panuje tylko w zachodniej połaci gubernii wileńskiej, zaś terytorium, przezeń objęte, ma figurę litery S, której szczyt północny opiera się o Twerecz, przechodząc dalej do gub. kowieńskiej, obok wysunięty jest aż do Mejszagoły — Kiernowa, Nowych Trok — Sumieliszek i Rotnicy — Olkienik, strona połudn.-wschodnia sięga Dziewieniszek — Surwilliszek i wreszcie koniec dolny południowy, zawróciwszy od Dziewieniszek ku zachodowi i dotknąwszy Zabłocia, przekracza granicę gub. grodzieńskiej.

Jeżeli śladem J. J. Bagdona wytknąć linię przez parafie: Dubicze, Rotnicę, Hermaniszki, Dziewieniszki,

Biniakonie, Olkieniki, Sumieliszki, Kiernów, Dubinki, Janiszki, Strumajcie, Hoduciszki i Twerecz, to na zachód od niej znajdują się wsie, posiadające od 75 do 100% używających w domu jęz. litewskiego. Natomiast między linią poprzednią a linią drugą równoległą do pierwszej, przeprowadzoną przez parafie: Zabłocie, Żurmuni, Subotniki, Surwiliszki, Szaltynikele, Rudniki, Połuknie, Stare Troki, Rykanty, Mejszagołę, Korwie, Niemenczyn, Kłuszczany, Łyntupy i Komaje, leżą wsie, zamieszkałe przez 25 do 75 proc. mówiących po litewsku.

W części zaś wschodniej gub. wileńskiej jeno wyspy i wysepki litewskie są rozrzucone wśród morza polsko-białoruskiego, jak np. parafie: Gierwiaty w pow. wileńskim, Łazduny w oszmiańskim itd.

Przedewszystkiem uderza w oczy okoliczność znamienna zatracenia języka litewskiego przez mieszkańców okolic Wilna, aczkolwiek zachowały się dotąd rdzennie litewskie nazwy wsi, otaczających dokoła stolicę gedyminową. P. K. G., widząc w tem niewątpliwy wpływ polonizacyjny Wilna, w zupełności podziela hasło, że Wilno, jako klucz Litwy, należy przedewszystkiem zdobyć dla siebie, na co wskazuje odrodzony instynkt samozachowawczy narodowy litewski. W przeciwnym bowiem razie grozić może Litwinom przepowiednia „optymistycznie nastrojonych patriotów polskich” (jak się wyraża p. K. G.), że z czasem terytorium etnograficzne polskie rozciągnie się na kształt mostu, zaczynając od ziemi łomżyńskiej przez gubernie grodzieńską i wileńską aż do okolic Kowna, już spolonizowanych.

■ ■ ■

+ Z Viareggio donoszą do lwowskiej „Gazety Narodowej”, że p. Zygmunt Bośniacki podpisał akt donacyjny, którym swoje wspaniałe zbiory geologiczne leguje dla muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Dr. Zygmunt Grzymała Bośniacki, uczony przyrodnik, przed laty około czterdziestu osiadł w Bagni di San Giuliano obok Pizy. Zakupił tam pod miastem kamienną górę; uprawił ją i stworzył niby oazę wśród nagich skał. Na szczycie góry, dawniej dostęp-

nej zaledwie kozom, powstała jakaś bajeczna osada ludzka: willa z całym komfortem urządzona, otoczona rozległymi ogrodami i winnicami. Na stokach góry zbudował p. Bośniacki chodniki, które linią łamaną widać się wśród winnic i drzew oliwnych.

W tym Belwederze, jak się nazywa posiadłość p. Bośniackiego, zgromadził uczony polski niezwykle skarby, zgromadzone w ciągu lat pięćdziesięciu, podczas których objeżdżał kraje, czytał księgę przyrody, badał skorupę ziemską, uwzględniając w niemałej mierze wszystko, co się stosowało do ziem polskich.

Zbiory p. Bośniackiego, przedstawiające dziś wartość olbrzymią, były przedmiotem pragnień i zakusów najpotężniejszych zasobami instytucji, jak cesarskiego muzeum w Monachium i nawet Briteich Muzeum. Ale uczony polski odrzucił wszystkie najbardziej kuszące oferty i propozycje i nie wahał się zbieranych przez całe życie skarbów oddać ofiarnie swemu społeczeństwu. Muzeum im. Dzieduszyckich wzbogacone bezcennymi skarbami p. Bośniackiego stanie się pierwszorzędem wśród wszystkich muzeów światowych.

## Odowiedzi Redakcyi.

P. „Warszawiakowi”. Stanowisko nasze w tym względzie wyjaśniał już kilkakrotnie. Nie odmawiamy zasad zej słuszności uwagom pańskim, ostrzegaliśmy natot ist przed przesadą, która jak każda zaciekłość dawać musi owoce conajmniej niezbyt dojrzałe. Jeśli przeto część wymienionych przez pana wyrażen można by istotnie zamienić innymi, o bardziej swojskiem brzmieniu, to natomiast przed użyciem różnych „niebokresów”, „wytwórstw” itp. ostrzegać raczej niż nawoływać do nich należy. A i o tem pamiętać trzeba, że nie zawsze wyraz podobny, zawiera w sobie treść całkowicie tę samą: administracya to jeszcze nie zarząd, produkcya to niekoniecznie wydajność, a już wybaczysz pan: kwestya nigdy po polsku nie brzmiała i nie brzmi sprawa lub rzecz.

## OD ADMINISTRACYI.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom, że czas odnowić przedpłatę na rok 1911.

**TREŚĆ:** B. Janusz — Pokolenie Smoka Wawelskiego (dok.) (z 2 ilustr.); M. R. Witanowski — W siedzibie Steniradzkiego (z 2 ilustr.); S. Matusiak — Gdzie niegdyś były u nas cisy i modrzewie; L. Ostaszewski — Jezioro Chodeckie (z 7 ilustr.); Ignacya Piątkowska — Legenda Wigilijna; T. — Dwory, Zamki i Pałace. 16. Pałac w Fydynie (z 1 ilustr.); Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Z Piśmiennictwa. — Kronika Krajoznawcza. — Odpowiedzi Redakcyi. — Od Administracyi. — Poza tekstem: Z naszych krajozobów: 11. Z Polesia.

Winięty tytułowy i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i łąkał Józef Mialan. — Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński. — Klize wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i 8-ki.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.